



ELIZA ORZESZKOWA

Echo


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

ELIZA ORZESZKOWA

Echo

Niemen tam płynie pomiędzy bardzo wysokimi brzegami, z których na jednym, wśród zbożowych łąnów rosną gdzieśgdzie stare grusze, brzozy i topole, a u szczytu drugiego ciągnie się pas ciemnego i gęstego lasu. W tym lesie, niby zakłęte głosy, na każde zawołanie budzą się śliczne, srebrne, przeciągłe echa. Budzą się i wnet znowu w zaczarowany swój sen wpadają. Ale, czasem, wymawiają piękne wyrazy.

W jedném szczególniej miejscu, gdzie wysoko jeszcze nad rzeką, ale pośrodku góry, na małej płaszczynie wyrasta odwieczna topola srebrnolistna, trzeba tylko zawołać miłość aby głos leśny wyraźnie, srebrnie, przewlekłe odpowiedział także: miłość! Czasem, zdjęty jakby radością odzyskanego na chwilę życia po trzy razy wtórzy jednemu słowu. Gdy pod topolą zawoła kto: bracia! coraz wprawdzie dalej, słabiej, rozwiewniej, ale trzy razy odpowieć on: bra-cia! bra-cia! bra-cia!

O, miłe echo!

*

Śliczna to była chwila, w końcu dnia letniego, o zachodzie słońca, którego wielka tarcza w orszaku purpurowych i złotych obłoków płynęła coraz niżej ku ciemnemu pasowi lasu. Morze światła zalewało szerokie pola, nad którymi stała wielka cisza a w światłości i ciszy, skowronki jak strzały, szybko, pionowo, ze srebrném dzwonieniem wzbijały się tak wysoko, że tonęły i znikaly aż w błękitach nieba. Powietrze, niby czara, nalana mocnym i wonnym napojem, pełném było zapachu traw, teraz właśnie koszonych na poblizkich łąkach. Nad drogami stały słupy owadów, złote, drżące, podobne do nieprzerwanie i monotonnie brzęczących strun. W dali turkotały wozy, zwożące z łąk skoszoną trawę; zdala i czasem, przelatywały krótkie, zgrzytliwe brzęki ostrzonych kos.

Szłam drogą, rozdzielającą pole od ogrodów niewielkiej wsi. Wśród okrytych niedojrzałym zbożem zupełnie w téj chwili bezludnych pól, droga ta była pustą i bezludną. Jednak, gdy wraz z nią wspierałam się na małą wypukłość gruntu, nagle, zobaczyłam stojące u dołu dziecko. Małe, może trzyletnie, bose, w grubéj koszuli, u szyi spiętej błyszczącym szkiełkiem, miało ono na głowie, tak zwaną tutaj, czapkę z czerwonej bawełnicy, która okrągło i ściśle okrywała całą jego czaszkę, od brwi rzadkich i jasnych aż do tego miejsca, w którym nad samym karkiem, widać było lnianej białości włosy. U samego środka czaszki sterczało mu dość wysoko coś podobnego do kokardy i zarazem do koguciego grzebienia. Zupełnie samotne, stało ono wyprostowane, nieruchome, z małym palcem utopionym w czerwonych jak malina ustach i wielkimi oczyma, gdzieś daleko zapatrzonymi. Wśród nieruchomości postawy i rysów, tylko te oczy tryskały życiem: turkusowe ich źrenice rozżarzało słońce i igrały w nich blaski cichéj, w sobie skupionéj, wewnętrznym chichotem śmiejącéj się wesołości.

W znaczném od wsi oddalaniu, rozdzielona z nią całą szerokością ogrodów i łankiem puszystego grochu, pod niską ścianką niedorosłego żyta, pośrodku pustéj drogi — drobna ta, nieruchoma figurka wyglądała ucieśnienie i prawie fantastycznie. Moznaby ją było wziąć za wyrosłego z ziemi gnomka, bosonogiego i z czerwonym czubkiem nad głową. Czego to maleństwo tu przyszło? Co je na tym miejscu zatrzymało? Jaki widok: wlatującego ptaka, czy błyszczącego owadu, czy kwiatu, podnoszącego z nad żyta jaskrawą koronę, tę cichą, zachwyconą radość wlewała mu w wielkie błękitne źrenice? Trudno było odgadnąć; ale w zamian pewném się wydawało, że groziło mu w tém miejscu niejakie niebezpieczeństwo. Dwukonne wozy, po wyladowaniu siana, wracające na łąkę, ukazywały

się już zdała i wnet, wnet, ze spadzistości gruntu, wprost na nie zjeżdżać miały. Przyspieszyłam kroku, oczy dziecka powoli zwróciły się na mnie i w tej samej chwili, w mgnieniu oka, zaszła w niem dziwna zmiana. Najprzód, drzenie przestachu wstrząsnęło całym jego ciałem, a potem drobne ręce wzniosły się ku głowie i czerwoną czapkę ścisnęły kurczowym ruchem przerażenia, które też wykrzywiło mu rysy i do niepodobiestwa prawie szeroko rozwarło oczy. Pomyślałam, że małe przeląkł się nieznaną sobie istoty ludzkiej. Nic w tym jeszcze nie było dziwnego. Z uśmiechem i pieszczotliwymi słowy zbliżałam się ku niemu, kiedy nagle, z osłupienia i oniemiaenia swego przebudzony, wydał on z siebie krzyk przeraźliwy i uciekać począł, ale tak uciekać, że aż drobne stopy plątały mu się po piaszczystej drodze, że aż upadał, nos i bez tego już czarny od pyłu, w piasek pograżając, lecz ze wszelką możliwą sobie szybkością podnosił się z ziemi, biegł dalej, drobne ramiona rozpościerał i wydawał coraz przeraźliwsze krzyki, wśród których wyraźnie rozróżniałam słowa:

— Zjé! zjé Mamo! oj zjé! dalibóg zjé Mamo! Mamo!

Biegł wprost pod koła szybko nadjeżdżających wozów. Dogonić go, pochwycić i na brzeg lanku, gęstwiną grochu porosłego usunąć — było rzeczą łatwą. Ale wtedy przestach malca wzrósł do stopnia, który zaczynał być dziwnym. Daremnie z czułością głaaskałam go po głowie i twarzy, daremnie wyjęty z kieszeni karmelek usiłowałam włożyć mu w rozwarte i wykrzywione usta, daremnie do małego, czerwonego jak tulipan ucha, przykładając dość długo tentniący zegarek, trwoga jego wzrastała, konwulsyjne prawie targania wstrząsając zaczęły członkami ciała, strumieniem łez zalane policzki drgały; w oczach malowała się zupełna i zarazem bolesna nieprzytomność. Nie widział, nie słyszał, nie czuł nic; z nieludzkiem już prawie wiźdzeniem, z zadziwiającym wytężeniem wszystkich sił swoich, wrzeszczał wciąż jedno:

— Zjé! zjé! dalibóg zjé! Mamo! mamo! oj! oj! oj! zjé!

Co tu robić? Choć wozy już przejechały, porzucić to małeństwo wśród drogi i w takim stanie wydawało się niepodobiestwem. Zanieść je do wsi także było trudnym: większe siły mieć-by musiał ten, kto-by je teraz utrzymać mógł na ręku.

Wtém, z zielonej gęstwiny najbliższego ogrodu, z pomiędzy wysokich konopi, lebiody i żółto kwitającego piżma wychyliła się i przez zagony niskich warzyw przeskakując, szybko ku nam biegła kobieta młoda, wysoka, gruba i rumiana. Widać bieliznę w chacie prała, bo wielkie, czerwone jej ręce były mokre. Z żółtą chustką na czarnych włosach wykrzywioną, w krótkiej spódnicy i pasiastym fartuchu do nas przypadła i w mgnieniu oka malca pochwyciwszy, przycisnęła go do szerokiej i wydatnej swjej piersi, na której, w fałdach koszuli, wiła się czerwona tasiemka, z brązowym u końca krzyżykiem. Rozognioną i spoconą twarzą swą do głowy dziecka przykładając i mokrą ręką ocierając z łez jego policzki, gniewnym głosem mówiła:

— *Chwaroba ty! kab ciebie uduszyło!* Czego ty wrzeszczysz, aż w chacie slychać? Oj, przelęklam się, że aż mnie trząść zaczęło!

W objęciu matczyném uspokoił się natychmiast, krzyczeć przestał i tylko jeszcze ciche chlupanie długo mu w piersi ustać nie mogło. Odwróciwszy się ode mnie, czoło oparł o szyję matki, a czarny od piasku nos, zupełnie prawie na jej piersiach splaszczyl, tak mocno do niej twarz przycisnął. Ona szerokim krokiem dążyć zaczęła ku chacie, której niska ściana, przyzbą otoczona i wązkie podwórko ukazywały się z za ogrodu.

— Czego on tak się przeląkł? — zapytałam.

— Durny! bardzo on jeszcze głupieński... — odpowiedziała.

— Nie wiecie, dla czego on krzyczał: zjé! zjé! O kim on myślał, że go zjé?

Wzruszyła ramionami, ale z wyrazu zakłopotania, który twarz jej okrył, odgadłam, że wie, dobrze wie. Opowiedziałam, gdzie spotkała malca, o pustej drodze i nadjeżdżających wozach. Przeląkł się.

— Oj Bożeż mój! — zawołała — ot i przypadek zdarzyć się mógł! Czy to trudno o nieszczęście.

Z głóśném cmoknięciem malca w głowę pocałowała i wnet gniewnym głosem zaczęła znówu:

— Czego ty tam szedł, *chwaroba!* licha cię tam niosło!

— Jak mu na imię?

— Franciś.

— Trzy lata mieć musi?

— Na Pokrowy mu będzie trzy i dwanaście niedziel...

— Ładny chłopczyk, takie ma śliczne błękitne oczy!

Zaśmiała się szeroko, z zadowoleniem, malca po plecach dłonią poklepała i na mnie przyjaźniejsze spojrzenie rzuciła.

— Ładnieśki sobie i rozumnieśki... Nie żart jaki rozumny... wszystko już rozumię...

— A dla czegoż dziś tak przeląkł się?

— Ot, widzicie, *dzied* straszy...

— Jaki dzied?

— A mego, znaczy, ojciec... nie żart jaki stary. Robić już nie może, to tyle jego pomocy w chacie że na piecu, albo na przyźbie siedząc, dzieci pilnuje. Ot i dopilnował dziś... *kab jebo*.

— Czemże on dzieci straszy?

Jednocześnie z tém zapytaniem zajrzałam w twarz Francisia, którą on zwolna i jeszcze z obawą z nad piersi matki zaczął podnosić i prędko, krzywiąc się znowu do płaczu usta jego, włożonym w nie karmelkiem zamknęłam. Macierzyńskie zadowolenie kobiety wzrosło.

— Zwyczajnie stary — odpowiedziała — ze wszystkiém zgłupiał... Wmawia w dzieci, aby uciekały, jak kogo w czarném odzieniu zobaczą...

— Dla czego?

— Zwyczajnie głupi... Zjedzą, mówi...

Zaśmiała się, ale z widocznym przymusem. Nie chciała odmawiać odpowiedzi na pytanie moje, a czuła się zakłopotaną.

— Kto zje? — zapytałam jeszcze.

— A niby to te ludzie, co w czarném ubraniu chodzą... Nie gniewajcie się, bądźcie łaskawi, on od starości zupełnie zdurzał... Raz jemu Francis sprzeciwiał się: „A czemu, mówi, ciebie dziadku, nie zjedli?” „Jedli, gołąbku, mówi, jedli, tylko ja taki twardy był, że skórę i kości zostawić musieli!” I mój, nie żart, jak czasem gniewa się na niego. „Na co, *baćku*, mówi, takie rzeczy gadać?” „Trzeba, synku, mówi, trzeba; niechaj zawczasu wiedzą, kto ich jeść będzie”...

U ściany chaty, na przyźbie, składającej się z grubej, twardo ubitej warstwy piasku i położonej na niej półokrągłej kłody drzewa, zobaczyłam siedzącego starca. Wyglądał na lat 70, ale zgrzybiałym, ani bezsilnym nie był. Wysoki, barczysty, chudy, grubą i dość brudną koszulę miał tak u szyi rozwartą, że w znacznej części obnażała mu ona pierś szeroką, jak bronz ciemną, kościstą i długim włosom porośłą. Ogromne, płaskie jego stopy, wyżej niż do kostek obnażone, ciemnym pyłem pokryte, zdawały się być zrosniętymi z żółto-zieloną ziemią podwórka. Łokcie opierał o kolana, ręce splótł i połową ciała naprzód podany, tak wyciągał chudą, ciemną i żyłastą szyję, jakby umyślnie głowę swą trzymał pod ciepło i migotliwie pieszczącym ją promieniem słońca. Głowa ta była wielka u góry spłaszczona i prawie zupełnie ogołocona z włosów, które tylko z tyłu czaszki, od skroni do skroni, tworzyły półokrągły wieniec, śnieżną i srebrnie połyskującą frendzlą opadającą na wystające kości karku i osuwający się z nich kołnierz grubej koszuli. Twarz jego długa i chuda, z zapadłemi policzkami i naprzód nieco wystającą szczęką dolną, otaczał owalny, krótki zarost, podobny do twardej, żółtawej szczotki. Wśród tego zarostu wargi jego były zupełnie prawie niewidzialnymi, a nad głęboko osadzonemi oczyma zwisały z wypukłych brwi długie, białe włosy. Czoło, w tył uciekające, ale rozszerzone łysiną, wydawało się ogromném i jak pole, po którym przeszła brona, pokryte było mnóstwem, tak prawie jak włos cieniutkich, wzdłuż, wszerz i ukośnie krzyżujących się zmarszczek. Powieki miał zamknięte: dumał, czy spał. Przypominał dąb próchniejący, lecz jeszcze potężny, z wierchołkiem długo przez wiatry łamanym i ogołaczanym z liścia, ale z pnem niezłomnie tkwiącym w ziemi. Ogromne jego stopy podobne były do podstawy ciężkiego kolosu, a głowa do głowy Sfinksa, mieszczącej w sobie zagadkę dawniej, wiekowej, dla niego tylko niezapomnianej przeszłości.

Zaledwieśmy weszły w bramę podwórka, Francis wyrwał się z matczynego objęcia i swoim kaczym, na obie strony kołyszącym się krokiem ku dziadowi pobiegł. O strachach zapomniał i śmiał się teraz prawie tak głośno; jak przedtém płakał. Z radośnym i prawie dzikim wizgiem przypadł do dziada, który powieki podniósł, rozplótł powoli swe

wielkie, prawie jak ziemia czarne, węzłowatemi żyłami wyrzeźbione ręce i bez uśmiechu, bez słowa, bez najłżejszego poruszenia rysów ujął w nie dziecko. Wyglądało ono w tej chwili, jak kruche cacko w rękach olbrzyma. Trochę tylko wyprostował się i jednym ramieniem u nagiej i włosistej swjej piersi umieszczając malca, dłonią drugiej okrył całe prawie jego plecy. Matka, uśmiechając się tak szeroko, że z za warg mięsistych i purpurowych ukazał się rząd nie tylko zębów białych jak perły, ale dziąseł czerwonych jak krew, zapraszała mnie, abym spoczęła na przyźbie. Ale stary, rzuciwszy na mnie przelotne spojrzenie, w którym, nakształt dwu iskiei, przelatujących w zaroślach, oczy jego błysnęły z za zwisających włosów brwi, nie przemówił nic, głową nie kiwnął, ruchu najmniejszego nie uczynił i tylko nieco niżej ku wnukowi głowę pochylił. Zdawać się mogło, że zaraz, zaraz, małej tej główce, ściśle okrytej okrągłą, czerwoną czapką i kogucim grzebieniem zjeżonej, opowiadać zacznie bajkę o strachach, chodzących w czarnym odzieniu.

Oj, dziadu, dziadu! po jakich to twardych i kamienistych drogach chodziły twoje ogromne stopy? Jakie to zęby przenikliwe i ostre zabronowały ci wysokie czoło? Jakie zawzięte bóle i gniewy nieostyglým dotąd warem napełniły twe szerokie, brązowe piersi?

*

Tego wieczora, o zmroku, zbiegłszy do połowy wysokiego brzegu Niemna, z pod srebrnolistnej topoli rzuciłam leśnym, zaklętým głosem wyraz: miłość! W głębi ciemnego lasu, głos napowietrzny, srebrny, przeciągły, odpowiedział: przesz-łość!

Co to było? złudzenie wyobraźni, lub odgłos własnych myśli?

Raz jeszcze i donośnie powtórzyłam czarodziejskie słowo. Głos leśny, zrazu srebrnie i wyraźnie, a potem, oddalając się wciąż i mdlejąc, coraz rozwiewniej trzy razy mi odpowiedział: prze-szłość! prze-szłość! prze-szłość!

O smutne echo!

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/orzeszkowa-echo>

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, Drobiazgi, nakład i druk S. Lewental, Warszawa 1892.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Okładka na podstawie: halfrain@Flickr, CC BY-SA 2.0

ISBN 978-83-288-0615-3

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.